

LEON DURKA

DALTONISTA

Leon nie odczuwał emocji, choć często uczestniczył w wydarzeniach, które niejednego twardziela by złamały. W jego mózgu, obszary odpowiedzialne za pojawianie się strachu nie były aktywne. Siedział przy stoliku w kawiarence, naprzeciwko rosnącego mężczyzny przebranego za kobietę. Suknia w futurystyczne wzory, luźno związana na obfitej talii i ogromna peruka z wplecionymi wstążeczkami sprawiały, że postać transwestyty wydawała się jeszcze większa. Pod stolikiem znajdował się przymocowany do blatu pistolet, na którego cynglu opierał się palec wskazujący z długim, lśniącem paznokciem. Broń skierowana była w Leona. Obaj rozmówcy wiedzieli o tym. Zdawali sobie również sprawę z faktu, że jeden nagły ruch wyzwoli z lufy pocisk o średnicy prawie trzynastu milimetrów.

Impulsem do użycia broni nie musiał być nagły ruch. Mogła to być decyzja o likwidacji młodego mężczyzny o jasnych, krótko obciętych włosach i niebieskich oczach.

Leon, choć w pełni był świadomy zagrożenia, ignorował niebezpieczeństwo. Część mózgu mężczyzny utraciła swoje funkcje po traumatycznych przeżyciach. Według diagnozy biegłego psychiatry, uszkodzenie mogło być trwałe.

Z okresu swojej służby w wojsku wielu wydarzeń nie pamiętał. Zaciągnął się jako najemnik z braku innych perspektyw – tak swoją decyzję tłumaczył wszystkim znajomym, ale tak naprawdę chciał się sprawdzić. Potrzebował adrenaliny i liczył na to, że wypełni jej braki w najemnym wojsku. Nie pociągały go sporty ekstremalne, czy próby bicia

rekordów, choć jako lekkoatleta miał duże szanse na zrobienie kariery. W biegu na tysiąc pięćset metrów zakwalifikował się na mistrzostwa kraju, zajmując ostatecznie czwarte miejsce wśród seniorów, co było nie lada wyczynem dla człowieka bez przygotowania.

Potrzebował adrenaliny z pola walki. Jednakże w żadnej potyczce nie dane mu było wziąć udziału. Podczas służby w Rwandzie, pewnego wrześniowego, deszczowego dnia, wraz z lokalnym przewodnikiem Ramzesem, wiózł zaopatrzenie do swojej jednostki. Bezmyślnie przesuwiał wzrok po ścianie zieleni, gdy jeepem nagle zarzuciło. Zatrzymali się. Pod kołami znaleźli martwe dziecko. Chłopiec był martwy już w momencie, w którym dwie silne ręce cisnęły jego ciałem pod koła pojazdu, ale o tym mężczyźni nigdy się nie dowiedzieli.

Transwestyta przekazał Leonowi kopertę z instrukcją, po czym badawczo patrząc mu w oczy, zadał pytanie, które nie zawierało na swoim końcu znaku zapytania:

- Co czujesz po zabiciu człowieka.
- Nic – padła szybka odpowiedź.

I na tym zakończyli spotkanie. Usługodawca przyjął zlecenie, zaś pośrednik upewnił się, że zadanie zostało przekazane do realizacji profesjonalście.

Zadanie wydawało się łatwe do wykonania i takie było. Poprzedniego dnia obejrzał miejsce akcji i ocenił ryzyko. Nie znalazł zagrożeń mogących zakłócić

opracowany
w szczegółach plan.

Pociąg właśnie dowiózł do stacji metra Centrum, kilkaset osób, które unoszone na stopniach ruchomych schodów zbliżały się do wyjścia. Stacja Centrum zlokalizowana jest w sercu Warszawy. Bliskość dworców kolejowych sprawia, że przez większość dnia bywa zatłoczona. Ludzie docierający do stolicy pociągami, dalej podróżują zwykle podziemną kolejką. Wśród pasażerów pojawił się mężczyzna, ubrany w długi, jasny płaszcz i brązowy kapelusz.

Leon przecisnął się pomiędzy dwoma idącymi wolno kobietami i znalazł się w odległości nie większej, niż półtora metra za obiektem swojego zainteresowania. Podniósł na wysokość łokcia torbę z logiem McDonalda, po czym dwukrotnie nacisnął na spust. Ofiara runęła na chodnik. Po chwili leżącym ciałem wstrząsnął jakby nerwowy spazm. Kapelusz zsunął się na owinięty jedwabnym szalikiem kark, a na betonowych płytach pojawiła się szybko rosnąca czerwona plama.

Kilka osób zwróciło uwagę na bezwładnie leżącego człowieka. Najbliżej stojąca kobieta, gdy zdała sobie sprawę z sytuacji, zaczęła panicznie krzyczeć.

Leon zmiął górę papierowej torby zawierającej pistolet i wrzucił ją do pobliskiego kosza. Zdjął lateksową rękawiczkę, włożył ją do kieszeni kurtki i skierował się do podziemnego przejścia, prowadzącego na drugą stronę Alej Jerozolimskich. Po drodze zdjął z głowy i schował do reklamówki bejsbolową czapkę i okulary. Torbę upchnął w koszu w podziemiach. W pobliskiej toalecie odkleił sztuczną brodę, wrzucił do

sedesu i spuścił wodę. Kurtkę przełożył na lewą stronę. Teraz był nie do rozpoznania.

Napastnicy byli z plemienia Hutu. Niewysocy, o krępej budowie ciała. Działali szybko i z zaskoczenia. Żaden

z pasażerów jeepa, który zatrzymał się, uderzając w drzewo, nie zdążył podjąć walki. Wyciągnięci z samochodu, zostali zawleczeni na obrzeże lasu i zmuszeni do wypicia płynu o słodkawym smaku. Skrępowani konopnymi linami, wkrótce zapadli w głęboki sen.

Znajdował się na wysokości wybudowanego w 1913 roku hotelu Polonia. Zaraz po otwarciu, hotel oferował swoim gościom nowości: centralne ogrzewanie, biurka z maszynami do pisania, ogniotrwałe sejfy oraz telefon zainstalowany we wszystkich stu sześćdziesięciu pokojach. Wybudowany został w stylu „paryskim”. W restauracji obsługiwali francuscy kelnerzy. Styl czterogwiazdkowego, posiadającego obecnie dwieście sześć pokoi hotelu pozostał niezmienny do dnia dzisiejszego.

Otrząsnął się zamyślenia. gdy nadjeżdżający z przeciwka, policyjny samochód zatrzymał się z piskiem opon. Sygnały świetlne odbijały się w sklepowych wystawach. Syrena, choć wyciszona, nadal wydawała z siebie basowe dźwięki. Przechodnie odwracali z zaciekawieniem głowy. Z samochodu wysiadł ubrany po cywilnemu, średniego wzrostu, dobrze zbudowany mężczyzna. Skierował się w stronę Leona. Było mało prawdopodobne, że to właśnie on jest obiektem zainteresowania, ale ostrożności nigdy za wiele.

Zabójca bez chwili wahania otworzył oszklone drzwi i wszedł do rozległego holu. Mężczyzna podążył za nim.

Przeszedł obok recepcji. W przelocie spojrzął na młodą kobietę, która kręcąc się na obrotowym krześle, pochłonięta była obrazem na ekranie smartfona. Po lewej stronie recepcji znajdował się korytarz prowadzący do toalet, zaś na wprost, wejście do restauracji, w której serwowano śniadanie. Leon, po krótkim namyśle, pchnął wahadłowe drzwi. Otulił go zapach świeżej kawy i pieczonych rogalików.

...

Komisarz Wiktor Trak kątem oka zobaczył mężczyznę wchodzącego do restauracji. Pomyślał, że gdyby nie obowiązki, z chęcią napiłby się aromatycznej kawy. Na miejscu przestępstwa już była policja i nie musiał się spieszyć. Dla kogoś nie znającego sposobu prowadzenia śledztwa przez komisarza, jego obecność na miejscu morderstwa mogłaby być odebrana jako kurtuazyjna. Pozornie nie zwracał uwagi na szczegóły. Zauważał jednak więcej od policjantów, którzy zjawiali się na scenie zdarzenia wcześniej, a jego doświadczenie pozwalało mu na dość szybkie rozwiązywanie wielu kryminalnych zagadek. To dlatego tę sprawę przydzielono właśnie jemu i jego zadaniem było znalezienie mordercy.

Skierował się do toalety. Stanął nad pisuarem i po chwili poczuł ulgę. Pomyślał, że leczenie nadciśnienia za pomocą środków moczopędnych ma swoje minusy. Pozostałe zalecenia lekarza były niemożliwe do zrealizowania. Nie wchodziło w rachubę: niedenerwowanie się, rezygnacja z alkoholu,

czy bezsolna i bezmięсна dieta. Zmobilizował się jedynie do ćwiczeń fizycznych i codziennego przyjmowania pastylek. Rano podłужnej, na wieczór okrągłej. Nawet nie pamiętał ich nazw.

Współpracownik, aspirant Jan Murat, był od komisarza o ponad dziesięć lat młodszy i dwadzieścia pięć kilogramów cięższy. Zachowywał się podobnie, jak Wiktor dwadzieścia lat temu. Nie dbał o zdrowie. Palił, pił dużo piwa i żywił się czym popadnie. W wieku trzydziestu kilku lat miał nadwagę i perspektywę cukrzycy, nadciśnienia i wylewu. Uwagi szefa na temat zdrowego trybu życia i żywienia puszczał mimo uszu.

Aspirant, w towarzystwie kilkunastu mundurowych, czekał na swojego szefa przed wejściem do metra pilnując, aby nikt nie zbliżył się do miejsca zbrodni.

Wiktor odebrał telefon, wydający dość nieprzyjemne dźwięki. Ustawił taki sygnał, aby lepiej go słyszeć. Mimo to, za każdym razem, kiedy aparat się odzywał, wprawiał go w rozdrażnienie.

– Szefie, czekamy na twoje przybycie – zdyszany głos aspiranta świszczał w słuchawce. – Słyszę jakby wycie syreny, ale chyba stoisz w korku, czyżby jako pierwszy...? – dodał zgryźliwie.

– Miałem nagłą potrzebę. Myślę, że będąc tak doświadczonym śledczym, zdążyłeś obejrzeć już ciało. Zgaduję, że tymczasem niewiele możesz mi przez telefon przekazać.

– A owszem, mam kilku podejrzanych, motyw i całą resztę. Do południa raport będzie gotowy i sprawę zamkniemy.

Złośliwa odpowiedź nie zdziwiła komisarza. Pewnie znów ma niedosyt śniadania, pomyślał.

Minorowy nastrój grubasa, to wynik braku odpowiednio dużej kanapki.

...

W restauracji zajęte były tylko trzy stoliki. Leon usiadł na miękkiej kanapie pod ścianą. Zaczął obserwować obszerną salę. Na ścianach wisiały trzy reprodukcje obrazów Jacka Malczewskiego z cyklu „Zatruta studnia”. Każda nad miejscem, gdzie obecnie siedział przy stoliku restauracyjny gość. Pod płótnem obrazującym młodą, rozpartą obok cembrowanego wiadra dziewczynę, siedziała elegancko ubrana, ładna blondynka. Kobieta trzymała przed sobą kolorowy magazyn ze zdjęciem modelki na okładce. Wpatrzona była gdzieś w przestrzeń, jakby nieobecna.

Nad łapczywie jedzącym jajecznicę, otyłym księdzem wisiało dzieło przedstawiające dojrzałą matronę o obfitych kształtach. Bawiła się swoimi włosami, w których tkwiło duże pióro. Jakby zwlekała z włożeniem wiadra do studni. Duchowny i matrona byli do siebie podobni, obydwójce z nieposkromionym apetytem.

Trzeci stół okupowany był przez niepozornego, ubranego w szare spodnie i beżowy sweter mężczyznę. Pochylony był nad kieliszkiem koniaku. Nad nim wisiał obraz „Zatruta studnia V” – ręce mężczyzny skute kajdanami, obok wiadro, za nim dzban, należący do niemłodej już kusicielki.

Policjant nie pojawił się. Leon mógł już bez obaw opuścić hotel.

...

Podłoga lobby zadrżała, jakby w pomieszczeniu poniżej uruchomiono dużą maszynę, której wibracje przeniosły się na marmurowe płyty. Pod lobby jednakże nie znajdowały się żadne urządzenia – był tam tylko magazyn pościeli.

Wiktor zauważył leżącą na betonowej płycie chodnika lateksową rękawiczkę. Odruchowo podniósł ją i wrzucił do kosza. Schylając się po nią, ucisnął pęcherz. Za pół godziny będzie zmuszony powtórzyć fizjologiczny rytuał. W tej samej chwili, dziwny pomruk zmusił go do odwrócenia się w kierunku hotelu. Powietrze na kilka sekund wypełnił dźwięk podobny do grzmotu wyładowania atmosferycznego. Budynek drgał, jakby dostał dreszczy. To, co zobaczył po chwili, wprawiło go w osłupienie. Czyżby odrobina lateksu wrzucona do metalowego pojemnika spowodowała reakcję kaskadową? Efekt motyla? Nie, to tylko czysty przypadek, ale tak mogłoby się wydawać.

...

Tubylcy szli szeregiem w kierunku wioski. Wyczerpani więźniowie ze spętanymi kończynami z trudem przedzierali się przez gąszcz zielonej dżungli. Podążali w kierunku wioski. Zostali porwani dla okupu, bądź na wymianę za uwięzionych przez siły rządowe bojowników. Agresja Hutu do plemienia Tutsi, pomimo dawno zakończonych działań, nadal nie wygasła. Półtora miliona ofiar śmiertelnych po obu stronach konfliktu i setki tysięcy sierot. Dzieci uzbrojone w karabiny maszynowe, zabijające inne dzieci – to już historia. Na pograniczu Demokratycznej Republiki Konga i Rwandy

pozostawały nadal partyzanckie ugrupowania, które wciąż realizowały plan „plemiennej zemsty”. Pod tym hasłem, najczęściej kryła się chęć zysku.

Gorączkowo szukał możliwości ucieczki. W miarę, jak posuwali się w głąb lasu, szanse na uzyskanie wolności malały. Wyszli na polanę porośniętą wysoką trawą i nagle zatrzymali się, wpadając jeden na drugiego. Ukazał im się widok mrozący krew w żyłach. Do trzech wbitych w ziemię pali przywiązane były trzy martwe, pozbawione głów ciała. Dwóch Murzynów i jeden Biały. Kolejne pale czekały na swoje ofiary.

...

Na oczach Wiktora, fragment prawego skrzydła potężnego budynku hotelu Polonia zapadał się pod ziemię.

Z głuchym pomrukiem zniknął parter, pierwsze, drugie a następnie trzecie piętro. Pozostałe dwie kondygnacje zwieńczone półokrągłym dachem ze srebrzystej blachy pozostały nad powierzchnią. Popękane, metalowe płachty nastroszyły się, przypominając oderwane od ciała ryby, ogromne, niekształtne łuski. Budynek drgnął i przekrzywiwszy się lekko w kierunku ulicy Marszałkowskiej, zastygł w bezruchu.

Chodnik opustoszał. Przechodnie uciekli w popłochu, pozostawiając na miejscu zdarzenia zaskoczonego policjanta i tumany kurzu.

Jezdnia popękała, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Kierowca samochodu zaparkowanego nieopodal, przeskakując przez powiększające się z każdą chwilą szczeliny, pobiegł w kierunku Pałacu Kultury i Nauki. Pobliskie tory tramwajowe uniesione do góry

przypominały bardziej zminiaturyzowaną trasę kolejki rollercoaster niż szlak ruchu szynowego. Koła radiowozu zapadły się, a pojazd osiadł na powierzchni podwoziem. Syrena zamilkła i tylko światła rozbłyskując rytmicznie, nadal wskazywały, że samochód, choć już tylko teoretycznie, ale nadal uczestniczy w akcji.

Podłoże drgnęło po raz kolejny. Komisarz zdecydował wycofać się w bezpieczne miejsce. Centrala powiadomiła już jednostki straży pożarnej, odpowiedzialnej za zorganizowanie akcji ratunkowej.

– Skoro nie mam tu nic do roboty, zajmę się swoją sprawą – powiedział do siebie, wzruszając ramionami.

Szedł szybkim krokiem, sprawnie przeskakując pęknięcia powstałe w asfalcie. Podążał do miejsca zabójstwa. Kolejna zagadka do rozwiązania w jego długoletniej karierze. Za chwilę obejrzy trupa człowieka, który komuś zaszkodził. Może winny był pieniądze, może nie wywiązał się z zadania, a może był kochankiem żony jakiegoś zazdrosnego męża. Mógł też zginąć przypadkiem z rąk szaleńca, który zabił, by uspokoić skołatane nerwy. Pechowiec? A może szczęściarz, wyzwolony z kajdan współczesnego świata, pełnego niezrozumiałych zależności.

– Mogłem być już na emeryturze... – pomyślał. Poprzedni Minister Sprawiedliwości wyróżnił go, dekorując Srebrnym Medalem za Zasługi dla Policji i przyznając podwyżkę. Dodatkowe wynagrodzenie nie było istotne wobec faktu, że nadinspektor nie miał innego wyjścia – musiał przedłużyć mu służbę.

Praca w Wydziale Kryminalnym Komendy Stołecznej Policji w Warszawie dla Wiktora nie była ani

ciężka, ani stresująca. Traktował śmierć człowieka, zadaną rękami innego w kategorii łamigłówki mającej rozwiązanie. Bez emocji. Tylko taka postawa dawała szansę wysokiej skuteczności wykrycia sprawcy. Jeżeli zabójcą był pospolity przestępca, prędzej czy później, zostawał ujęty. Trudniej było z amatorami, dewiantami, którzy mord traktowali jako rytuał. Doskonale planowali akcję. Wszystkie szczegóły były przemyślane, ślady zatarte, a motyw niewiadomy. Ale i tacy trafiali w ręce doświadczonego śledczego. Pomagała mu w tym intuicja. Trudny do określenia zmysł, którego podstawą były doświadczenia zbudowane na fundamencie pewnego rodzaju przeczucia. Potrafił godzinami leżeć na łóżku i w środku nocy przeprowadzać analizę sytuacji. Kolejny raz i kolejny, wielokrotnie wracał do hipotez, odrzucając je, bądź utwierdzając się w przekonaniu, że podąża właściwą drogą. Robił to automatycznie i skutecznie. Widział to, czego nie dostrzegali inni i składał w jedną całość elementy łamigłówki w sposób jemu tylko właściwy. W środowisku detektywów nazywano do „Jasnowidzem”.